

Pisanie to honory, a nie honoraria

Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm o nagrodach dla pisarzy



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, podczas jednego ze spotkań autorskich, fot. Norman Boehm

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

[Redacted text block containing multiple lines of blacked-out content]

Aleksandra Ziółkowska-Boehm (*Wilmington, Delaware*):

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Wręczenie nagrody „Absolwent VIP” Uniwersytetu Łódzkiego w maju 2022 r. w pałacu Alfreda Biedermanna. W pierwszym rzędzie, pierwsza z lewej – Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. UŁ



Pałac Alfreda [REDACTED] w Łodzi, fot. Wikimedia Commons

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED] / [REDACTED] / [REDACTED] / [REDACTED]

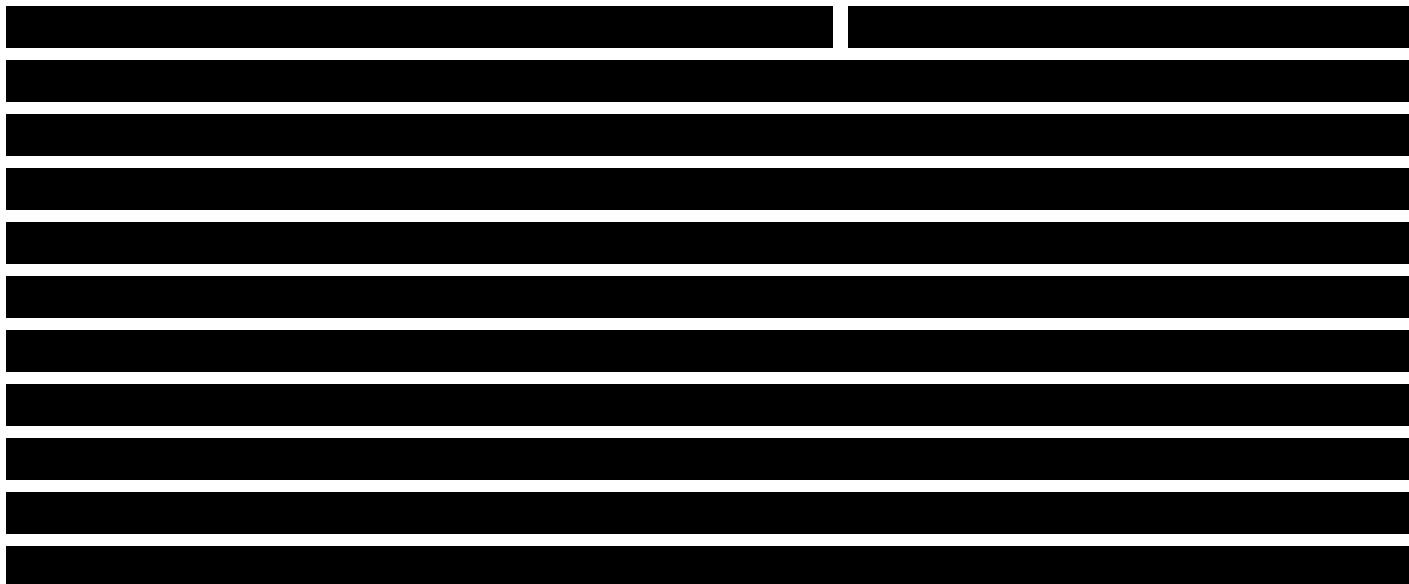
[REDACTED].

[REDACTED]

[REDACTED]



Aleksandra Zółkowska jako studentka UŁ, fot. arch. autorki



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

JOSEPH R. BIDEN, JR.
DELAWARE



United States Senate

WASHINGTON, D.C.

April 18, 2007

Dr. Aleksandra Ziolkowska-Boehm

Wilmington, DE 19809

Dear Aleksandra:

Congratulations on receiving a prestigious Fulbright Scholarship. This is a great honor in its recognition of your skills and achievements, but also a testament to your teachers, schools and communities as well.

As Chairman of the Senate Foreign Relations Committee, I understand the importance of international cooperation to create mutually beneficial progress. In this, you are joining a long line of America's best scholars that have represented our country in building academic bridges abroad. I believe there is an urgent need for such strong and supportive relationships within the international community and I applaud your achievement. Be sure to take great pride in this and I look forward to hearing more of your impressive undertakings in the future.

Sincerely,

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Joe Biden", written over a large, stylized "105".

Joseph R. Biden Jr.
United States Senator

List gratulacyjny od obecnego prezydenta USA, ówczesnego Senatora - Josepha R. Bidena, arch. autorki



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Honory [REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Biurko pisarki. Koty proszą o porządek, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

O twórczości literackiej profesora Kazimierza Kupisza (1921-2003)

[REDACTED]

Pisanie należy do świata magicznego

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware) rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r.,
fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje” swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje” (Bellona) oraz „Wokół Wańkowicza”(PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani znała? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliżyła jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę*. Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („... bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce”.

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej

nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczęśliwych lat”, chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografii, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza” była książką „do czytania”, aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino”.

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino”, a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice”.

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żalosne donosy, które są w

teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza” jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść „Gryfa””. Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze”. O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna” opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps. „Gryf”, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej z Gdańska, piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczeniących lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu

powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawiane, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszku, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszycach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” nazwałam go „polskim Hemingwayem” – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykle życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów”. Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o... kotach... O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in. znani z książki „Sprawa honoru” Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality”, „The Roots are Polish” i książka o

senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians”.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse’a) – „Open Wounds a Native American Heritage” (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki”); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach... z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion” (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką”). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle”. Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już”), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England” (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World War II”.

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives” (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja „Ingrid Bergman prywatnie” – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books” (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia”).

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion”, która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach”. Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława” odwdzięczyła się, zapisując pani... miejsce w grobie na Powązkach.

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi swoje losy. A także, jak po ukazaniu się książek niektóre ich tematy pokazywały „inne, nowe wątki”.



W „Pisarskich delicjach” poświęciła pani rozdziały m.in. takim mistrzom pióra i publicystyki, jak Jerzy Giedroyc czy Isaac Bashevis Singer. Dlaczego właśnie oni stali się współbohaterami pani opowieści?

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu” dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach”.

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniałam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchirem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyc wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”: „Pisanie pojmuję... jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”, zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, poczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delicje” zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy... pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?”.

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją. Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy, wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznane zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie...

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble*, widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś” lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że „historia lubi się powtarzać”.

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje

zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą” lub prawdą „innej osoby”. Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo” zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza... Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie...

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu – na co – po co?”, i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym”.

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy” uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dni całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności”.

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie – lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania... Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna – gdy jest taka – wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię, rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję...

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści...

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał”. Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam”. Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć... Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało” mi się, nie potrafiłam...

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi, że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie...

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, 20.09.2019 r.

*

Zobacz też:

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

Pisarskie delikcje i remanenty

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki - Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

Marcin Kula (*Polska*)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury” i w IPN... To nie jest „tylko” książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi

docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całonocne przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające... – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz miał kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namietnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

Wańkowicz: *Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.*

Przeprowadzając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

***Wańkowicz:** W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stroną skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamanie publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.*

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do...” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańskiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykle źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zreszta popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama

Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana...).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaże polski na szerokie drogi literatury faktu” (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektóre z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem” Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne – albo te same – opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój”, zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą”, decyzja o

powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym... no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował – bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rządzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

Ileż różnych cech miał w sobie ten człowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o siebie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji – s. 101.

Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci – s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze, prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

Lubił przyjmować ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ośmiorice, ślimaki, żaby itp. – s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką

korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi”. Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek” (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek” (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi”, na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek”. Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi, Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkiewicz**, Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był – co wówczas rzadkie – człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistów. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała

w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o... i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, uklonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskim władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72 lata...). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w

pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim terminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz”? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicjo...” (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułę:

Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka” przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją

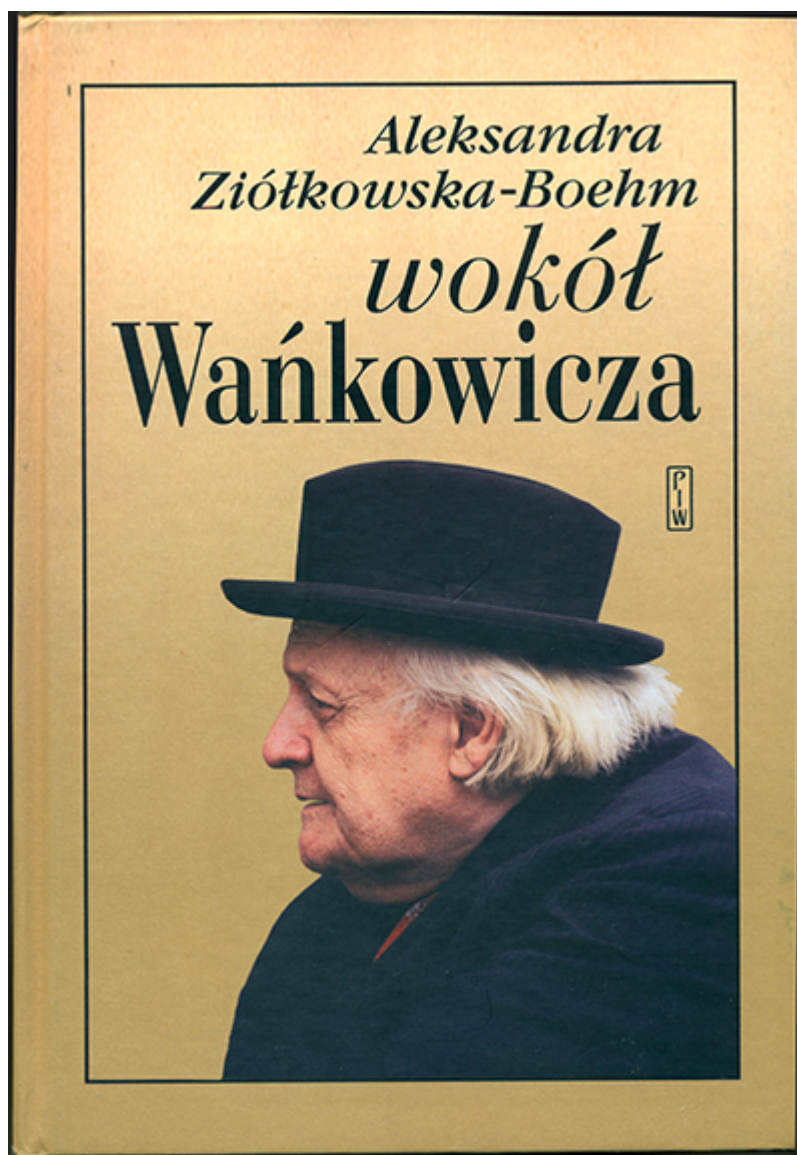
twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino”, nawet jeśli okrojona, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przeszmyglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadził jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszenie, ale lepiej było tak, niż inaczej.

Last but not least, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomówił Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, *Wokół Wańkowicza*, PIW, Warszawa 2019, s. 696

Recenzja Marcina Kuli ukazał się w **PAMIETNIKU LITERACKIM**, Londyn, grudzień 2019 r.

*

Zobacz też:

„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.

Janusz Żurakowski. Zapiski z łąki.



Janusz Żurakowski na swojej łące, fot. M. Kusiba.

Marek Kusiba (*Toronto, Kanada*)

Z wysokości trzech kilometrów łąka na skraju ontaryjskiego jeziora Kamaniskeg wygląda jak znaczek pocztowy przyklejony do zielonej koperty. Łakę wypatrzył pilot doświadczalny z kabiny testowanego supersonicznego myśliwca przechwytyjącego, którego zadaniem miała być obrona Ameryki Północnej przed rosyjskimi bombowcami. Gdy w 1959 roku zlikwidowano produkcję najlepszego samolotu świata tamtej doby – na własne życzenie rządu kanadyjskiego – pilot wraz z rodziną osiedlił się na upatrzonej łące. Wkrótce przyjechali inni, łąka zakwitła namiotami, powstała mała ojczyzna Polaków. Nazwisko pilota: Janusz Żurakowski. Nazwa

myśliwca: CF-105 Avro Arrow. Adres małej ojczyzny: „Kartuzy Lodge”, 1 Arrow Drive, Barry’s Bay, ontaryjskie Kaszuby.

20 lutego minęło 60 lat od dnia, który zapisał się czarną kartą w historii Kanady, a w życiu Janusza Żurakowskiego wyznaczył cezurę: zakończył życie lotnicze, a rozpoczął – osadnicze. W tym roku mija także 105 rocznica urodzin i 15 rocznica śmierci pułkownika Żurakowskiego – we własnym łóżku, w sędziwym wieku lat 89. Popularny w Kanadzie „Żura” spędził łącznie w powietrzu blisko trzy lata, będąc zawsze wierny zasadzie, że są dobrzy lotnicy i... starzy lotnicy.

Ziele na kraterze, mała świnka i Merian Cooper

Pana Janusza znałem blisko dwadzieścia lat, rozmawialiśmy przeważnie o lataniu, jako że pochodzę z lotniczej rodziny. Z panią Anną Danielską-Żurakowską rozmawialiśmy z kolei o literaturze. A zaczęło się wszystko od... Melchiora Wańkowicza: pani Anna dobyła kiedyś z szuflady poślótkę listy i *Ziele na kraterze* z dedykacją autora, odwiedzającego Żurakowskich 7 czerwca 1954 roku:

Państwu Januszowstwu Żurakowskim z życzeniami, aby ich przemiłe „ziele” nie wzrastało na żadnym już – kraterze.

Anna Danielska-Żurakowska pisała wiersze, studiowała romanistykę, była też dziennikarką radiową. Razem z Julią Hartwig i Anną Kamieńską, jej szkolnymi koleżankami, pisały w czasie okupacji sztukę dla rannych żołnierzy. Potem drogi ich się rozeszły. Danielska uciekła do Francji, by poślubić miłość swej wczesnej młodości, oficera lotnictwa, jednego z bohaterów bitwy o Anglię i lotnictwa brytyjskiego po wojnie, gdy bił międzynarodowe rekordy i wymyślał figury akrobacyjne, będące dotąd nie do pomyślenia. O Januszu Żurakowskim wiedziałem (prawie) wszystko, pytałem więc o sztukę, ale pani Anna wolała mi opowiedzieć o... małej śwince, którą widziała u chłopca, gdy ją gonił dookoła podwórka bez wyraźnego powodu. Zapytała wreszcie, po co to robi? A on na to, że Niemcy kazali mu ją z rana odstawić na punkt i że on chce im ją oddać nieco chudsza...

Z panią Anną i panem Januszem rozmawialiśmy także o Macieju Słomczyńskim, kongenialnym tłumaczu *Ulissesa*, którego ojciec, Amerykanin Merian Cooper był

współtwórcą Eskadry Kościuszkowskiej i wraz z 20 amerykańskimi lotnikami walczył ramie w ramie, a raczej skrzydło w skrzydło z Polakami w wojnie polsko-bolszewickiej. Późniejszy Dywizjon 303, „Kościuszkowski”, godny spadkobierca dokonań zaczątku „Legionu Amerykańskiego” w lotnictwie II RP, okazał się najlepszym dywizjonem Bitwy o Anglię, w której walczyli także mieszkający tuż obok siebie na ontaryjskich Kaszubach Janusz Żurakowski oraz Kazimierz Szrajer, który zaczynał od roli mechanika w Dywizjonie 303, a potem w Eskadrze Specjalnego Przeznaczenia latał w „mostach powietrznych” do okupowanej Polski, podczas blokady Berlina i do głodującej Białej.



Fot. M. Kusiba.



Arrow Drive - dróżka dojazdowa do Kartuzy Lodge, fot. M. Kusiba.

Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału...

Historia Janusza Żurakowskiego bierze swój początek na kresach dawnej Rzeczypospolitej w roku wybuchu pierwszej wojny światowej: urodził się 12 września 1914 roku w Ryżawce niedaleko Kijowa. Jego ojciec ukończył medycynę i był lekarzem fabrycznego osiedla tamtejszej cukrowni. Po wybuchu rewolucji w Rosji rodzina Żurakowskich herbu Sas straciła dobra dziedziczne Żytniki niedaleko Humania. Gdy wschodnie granice Polski ustalono w Traktacie Ryskim, Żurakowscy w marcu roku 1921 postanowili przedostać się do odrodzonej z popiołów Rzeczypospolitej.

Podróż trwała kilka tygodni. Wozem konnym, z pięciorgiem dzieci. Mały Janusz miał siedem lat. Przekradali się nocą. Przez granicę przeprowadził ich kurier-przewodnik. Dotarli do Garwolina, gdzie ojciec Janusza otrzymał posadę lekarza powiatowego. Później, w roku 1927 rodzina przeniosła się do Lublina. Jan trafił do gimnazjum im. Stanisława Staszica. - Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału - mówił - za to, za przykładem starszego brata Bronisława, który był entuzjastą lotnictwa i budował szybowiec, dużo czasu poświęcałem budowie modeli latających.

Pierwszy w życiu lot odbył w roku 1929, w Lubelskim Klubie Lotniczym. Lot był nagrodą za pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie modeli latających. Ta krótka

chwila w powietrzu związała Żurakowskiego z lotnictwem na całe życie. Pomysł zostania lotnikiem sprowadził mu na głowę gwałtowny sprzeciw ojca, który zadbał o to, żeby koledzy-lekarze z komisji w Centrum Badań Lotniczych w Warszawie „odwalili” 18-letniego kandydata na kurs szybowcowy. Januszowi rzekomo doskwierała „gruźlica obojczyka”.

Był wściekły, ale nie złożył broni: zapisał się na kurs i samodzielnie oderwał się od ziemi w Szkole Szybowcowej Polichno-Pińczów. Zdobył kategorie pilotażu A i B. Podczas następnych wakacji, na kolejnym obozie szybowcowym, uzyskał kategorię C. Było to już po majowej maturze. Jego brat Bronisław studiował na warszawskiej Politechnice, siostry też wybierały się do stolicy na studia. Janusz zdecydował się ulżyć finansom ojca: zgłosił się na ochotnika do wojska. Jako maturzysta miał prawo wyboru broni. Wybrał oczywiście Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

Lotnicze ziarna i pęknięta czaszka

Dęblińską Szkołę Orląt ukończył w roku 1937, w stopniu podporucznika pilota. Tuż po uroczystej, dziesiątej promocji, wybrał się na urlop wakacyjny na szybowisko w Pińczowie. Odbył tam piętnastogodzinny lot na szybowcu Komar, co było dużym osiągnięciem biorąc pod uwagę dość prymitywną konstrukcję szybowca i warunki latania. Startowało się wtedy bez użycia samolotów holujących, ani mechanicznych wyciągarek, za to przy pomocy dwóch lin gumowych i sześciu ludzi, którzy na komendę „naciągaj” ruszali pędem w dół zbocza naprężając liny, a szybowiec wyskakiwał w powietrze jak z procy.

W lipcu 1938 roku podporucznik Żurakowski wybrał się na kolejny urlop do znanej już w Europie Akademii Szybowcowej w Bezmiechowej na Podkarpaciu. Akademia zasłynęła w maju owego roku, gdy jeden z jej młodych pilotów, Tadeusz Góra, po starcie z Bezmiechowej doleciał aż pod rodzinne Wilno, bijąc rekord świata długości przelotu (578 km) i zdobywając pierwszy na świecie Medal Lilienthala. A rok wcześniej Wanda Modlibowska latała nad tym bieszczadzkim szybowiskiem 24 godziny i 14 minut, bijąc rekord świata długości lotu Hanny Reitsch, zwanej „pilotką Hitlera”.

Takie lotnicze ziarna kiełkowały w duszy Żurakowskiego. I on próbował

Bezmiechowej, lecz nawyki z szybkich samolotów myśliwskich o mało nie doprowadziły do tragedii. Zaraz po starcie położył szybowiec Delfin w zbyt ostry skręt, uderzając w świerk na stoku. Młody lotnik rozbił sobie głowę i z czaszką pękniętą na długości ośmiu centymetrów najpierw wydostał się z kabiny i zszedł z drzewa, a potem dowlókł się do zabudowań Akademii na szczycie góry – ale nie pamiętał, jak tego dokonał.

Zabawy w kotka i myszkę z Dornierami

Jesienią 1938 roku latał już na samolocie PZL-11 w 161 Eskadrze Myśliwskiej Szóstego Pułku Lotniczego we Lwowie. Głowa zagoiła się, a myśli coraz częściej zaczęła zaprzętać wojna. Został odkomenderowany ze swego Pułku do Dywizjonu Specjalizacji Myśliwskiej w Ułężu pod Dęblinem. Wojna wisiała na włosku podczas ostatniego lata tamtej epoki, które młody pilot Żurkowski spędził, jak zwykle, na lotnisku. Aż wreszcie spadła wojna na Polskę jak jastrząb z nieba.

- Wystawiliśmy w pogotowiu trzy stare „pezetelki siódemki” [PZL-7], samoloty używane do nauki strzelania – wspominał pan Janusz. W czasie jednego z nalotów na Dęblin przeszedłem swój chrzest bojowy. Mój stary samolot szkoleniowy miał małą szybkość i gdy tylko zaczynałem strzelać do bombowców, Niemcy dodawali gazu i Dorniery mi uciekały, by za chwilę zwolnić i strzelać do mnie. Wynik tej zabawy w kotka i myszkę był znikomy: za jednym bombowcem wlokła się biała smuga paliwa z przestrzelonego zbiornika, a ja miałem kilka niegroźnych dziur w skrzydle.

Gdy siedemnastego września 1939 roku pojawiły się na niebie dwusilnikowe, pękate samoloty z czerwonymi gwiazdami, pilot Żurkowski wiedział, że to początek końca. Polska nie miała żadnych szans w walce na dwa fronty. Przyszedł rozkaz ewakuacji personelu lotniczego do Rumunii, gdzie doszły lotników wieści, że Anglia wysłała dla polskich pilotów statek wyładowany myśliwcami Hurricane. Lecz Rumunia w strachu przed Hitlerem zamknęła pilotów w obozach internowania.

Żurkowski „zmienił” zawód na „leśnik” i po wielu perypetiach udało mu się razem z grupą lotników w cywilnych ubraniach wypłynąć z portu Balcic nad Morzem Czarnym. Po tygodniu zawinęli do Bejrutu, potem odpłynęli francuskim statkiem do Marsylii. Wojna rozgorzała na dobre, a kilka tysięcy młodych lotników i personelu naziemnego z Polski oczekiwało na decyzję komisji polsko-brytyjsko-francuskiej,

która w końcu zadecydowała i o losie porucznika Żurakowskiego: pod koniec stycznia 1940 roku znalazł się w Anglii.



Avro Arrow w locie, fot. z archiwum Żurakowskich.

Wstręt do angielskiej herbaty i śmietanka lotników

Anglicy z początku nie dowierzali sile ducha i lotniczego talentu młodych myśliwców z dalekiej Polski: zamierzali przeszkolić ich na bombowcach. – Wydawało nam się, że duma nie pozwala Anglikom, aby obcokrajowcy bronili ich ojczyzny – wspominał pan Janusz. Ale po upadku Francji, w walkach nad którą lotnictwo angielskie poniosło ogromne straty, schowali Brytyjczycy swoją dumę do kieszeni. W początku sierpnia 1940 roku Żurkowski, po krótkim przeszkoleniu, rozpoczął służbę w 234 Dywizjonie Myśliwskim RAF. Rozpoczęła się Bitwa o Wielką Brytanię. Żurkowski walczył w dywizjonie angielskim, ale w powietrzu były też dwa polskie dywizjony RAF – 302 i 303.

Latali na okrągło. Straty były duże, spowodowane także niehumanitarnym zmęczeniem. W połowie września z dwudziestu paru pilotów Dywizjonu 234 zostało mniej niż dziesięciu. Wtedy wycofano ich do Kornwalii, co nie przypadło do gustu Żurkowskiemu, który w czasie tych morderczych zmagania zdołał zestrzelić na swoim Spitfire'rze trzy Messerschmitty (plus jeden prawdopodobnie), ale i sam został

zestrzelony nad wyspą Wight, co wywołało w nim przejściowy wstręt do angielskiej herbaty, gdyż w każdym domu częstowany był tradycyjną „cup of tea”.

Wraz z porucznikiem Oleńskim poprosił o przesunięcie z cichej Kornwalii w bardziej aktywny rejon. Chcieli się dalej bić. Trafili do 609 Dywizjonu RAF w pobliżu Salisbury. Walczyli do końca Bitwy, która powoli wygasła. Dywizjon został przeniesiony w rejon Londynu, do osłony konwojów i pierwszych brytyjskich wypraw bombowych nad Niemcy. Tymczasem polskie Dowództwo Lotnictwa w Anglii zaczęło tworzyć nowe jednostki, wyciągając polskich pilotów z angielskich dywizjonów. W ten sposób w marcu 1941 roku Żurakowski został instruktorem wyszkolenia myśliwców, a w grudniu znalazł się w 315 polskim dywizjonie „Dęblińskim”. W kwietniu 1942 roku został dowódcą eskadry w 306-tym, a w parę miesięcy później dowódcą 316 Dywizjonu „Warszawskiego”. Wreszcie w lipcu 1942 roku objął funkcję zastępcy dowódcy Skrzydła w Northolt; prowadził skrzydło w czterdziestu lotach bojowych. Osłaniali amerykańskie „latające fortece” w wyprawach nad Niemcy.

„Zura” – jak zwali go brytyjscy koledzy – nie nadawał się do siedzenia za biurkiem. A taką rolę wyznaczyło mu polskie dowództwo, przenosząc go w roku 1943 do Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego na stanowisko oficera „taktyczno-treningowego”. Gdy więc dowiedział się, że w Imperialnej Szkole Pilotów Doświadczalnych było jedno miejsce dla Polaka – zgłosił się natychmiast. W marcu 1944 roku rozpoczął roczny kurs, razem ze śmietanką lotników z całego świata. Latał na wszystkim – od najmniejszych samolotów do bombowców. Zrobił też kilka lotów z lotniskowca, dzięki skierowaniu na pierwsze loty doświadczalne w Dywizjonie Morskim. Wreszcie trafił do dywizjonu prób samolotów myśliwskich. Usiadł za sterami pierwszych brytyjskich odrzutowców Vampire i Meteor.

Gdy kończyła się wojna, Żurakowski miał już oblatanych czterdzieści różnych typów samolotów; był znakomitym pilotem doświadczalnym, czego dowiódł ponad wszelką wątpliwość w lipcu 1945 roku, demonstrując odrzutowiec Vampire. Prasa lotnicza piała, zachwytem nie było końca: „The most brilliant exhibition probably ever seen” (prawdopodobnie najdoskonalszy pokaz widziany kiedykolwiek). W październiku na odrzutowym Hornecie zademonstrował pętlę z wyłączonymi obydwoma silnikami, by potem zadziwić widzów pełną akrobacją z jednym tylko pracującym silnikiem.

Owocem tych wyczynów była nie tylko sława, ale i od roku 1947 praca pilota doświadczalnego w angielskiej firmie lotniczej Gloster Aircraft, produkującej myśliwce Meteor i Javelin, które należało udoskonalać. „Zura” to potrafił. Przyszły więc kolejne sukcesy. Do największych zalicza jednak poślubienie swojej polskiej narzeczonej, Anny Danielskiej. Ich rodziny były przed wojną ze sobą zaprzyjaźnione, ojcowie-lekarze pracowali razem. Pan Janusz próbował sprowadzić panią Annę do Anglii zaraz po wojnie, ale nie było to łatwe. Kolejne próby kończyły się fiaskiem. W końcu jednak udało się jej wyjechać ze stalinowskiej Polski – po wstawiennictwie Jarosława Iwaszkiewicza. Ślub odbył się 13 maja 1948 roku w Paryżu.



Janusz Żurkowski na ramionach kolegów po pierwszym locie Avro Arrow, 25 marca 1958 r.

„Niezrównany pilot demonstracyjny” i pionowe „koła od wozu”

W osiem miesięcy później, w styczniu 1949 roku Żurkowski osiągnął siedem i pół

mili wysokości lotu w siedem i pół minuty, co było rekordem świata, a w rok później ustanowił międzynarodowy rekord szybkości na trasie Londyn-Kopenhaga-Londyn i uzyskał miano „niezrównanego pilota demonstracyjnego”, jak pisał tygodnik „Flight” po pokazach w Belgii. Wreszcie na pokazach w Farnborough w roku 1951 zademonstrował lotniczemu światu pierwszą od lat dwudziestu nową figurę akrobacyjną, nazwaną przez francuski „Aviation Magazine” „Zurabatic Cartwheel”. – Zanotujmy, że akrobacja po angielsku jest „aerobatics” – pisali Francuzi – ponieważ Żurakowski ją wykonał, nazwa będzie „Zurabatics”. „Zura” wyciągał swój Meteor ostro w górę, zadławił jeden silnik i z drugim na pełnej mocy wykonywał półtora pionowego „koła od wozu”.

Wieści o wyczynach Żurakowskiego dotarły i za Ocean. Zakłady lotnicze A. V. Roe (zwane też Avro Canada) w Malton pod Toronto poszukiwały takiego właśnie pilota. Żurakowski został ich głównym pilotem doświadczalnym (Chief Test Pilot). W roku 1952 przeniósł się z rodziną (w Anglii urodziło się Żurakowskim dwóch synów, Jurek i Marek) do Kanady.

Jeszcze tego samego roku przekroczył barierę dźwięku na samolocie pościgowym CF-100 o prostych skrzydłach, „co narobiło trochę szumu, gdyż fachowcy nie wierzyli, że było to na tym samolocie możliwe” – jak skromnie wspominał pan Janusz. Fachowcy wierzyli za to w następcę CF-100 – myśliwiec przechwytyjący CF-105 Avro Arrow, który 25 marca 1958 roku Janusz Żurakowski oblatwał. 14 września 1958 roku, w swoim dwudziestym drugim, ostatnim locie na Arrow, Żurakowski osiągnął szybkość Mach 1.86 (czyli prawie podwójną prędkość dźwięku). Lecz pomimo znakomitych osiągnięć i właściwości, wspaniałych prognoz i niezwykłych perspektyw dla rozwoju przemysłu lotniczego w Kanadzie, produkcja samolotu została brutalnie wstrzymana przez konserwatywny rząd Johna Diefenbakera, który skazał tym samym zakłady A.V. Roe na zamknięcie.

Złamana Strzała i duch narodu

Ślady po złamanej Strzale zacierano z niezwykłą dokładnością, jak po przestępstwie. Na tereny zakładów Avro wkroczyło wojsko, by przypilnować pocięcia palnikami (sic!) istniejących już samolotów (łącznie 37 w różnych stadiach produkcji) oraz kanadyjskich silników Orenda, jak również zniszczenia całej dokumentacji. Samolot

CF-105 Arrow był najwspanialszym technicznym osiągnięciem Kanadyjczyków w dziejach tego kraju. Był poza tym dzieckiem kochanym przez kanadyjską społeczność. Miłością do Arrow przepełnione były relacje prasowe z tamtych lat, późniejsze książki oraz filmy, zarówno dokumentalne, jak i para-dokumentalny, dwuodcinkowy film telewizji CBC.



Arrow latał jak ptak..., fot. z archiwum Żurakowskich.

Los Avro Arrow zdaje się obchodzić wszystkich. Krytycy decyzji twierdzą, że na życzenie Amerykanów, którzy bali się tak silnej konkurencji w przemyśle lotniczym po północnej stronie granicy, dokonano trwałego sabotażu na przyszłości Kanady. W wielu komentarzach od 60 lat słychać powracający motyw o duchu narodu, który wtedy, w tamten „czarny piątek” 20 lutego 1959 roku, uległ świadomemu zniszczeniu. Od swych narodzin na deskach kreślarskich do zniszczenia na terenie zakładów w Malton pod Toronto, myśliwiec CF-105 Arrow dawał liczne dowody swej wyjątkowości. Był samolotem rewelacyjnym, w opinii dwóch polskich oblatywaczy, Janusza Żurakowskiego i Władysława „Spuda” Potockiego. Przy pracy nad nim

skupiono najtęższe umysły konstruktorskie tamtych czasów. Kierował tym zespołem Jim Floyd o renomie konstruktora bijącego rekordy myśliwca CF-100 oraz pierwszego na świecie odrzutowca pasażerskiego Avro-Jetliner. Podobnie jak Arrow był to samolot w pełni kanadyjski, bardzo udany i zupełnie niedoceniony, o wiele lepszy od brytyjskiego Cometa, który, nie dopracowany technicznie, rozlatywał się w powietrzu. W 1949 roku wyprodukowano jeden egzemplarz Jetlinera, na więcej rząd kanadyjski nie złożył zamówień; w 1957 roku pocięto go na żyłki - zamiast postawić w muzeum. Warto dodać, że po likwidacji programu Arrow Floyd przeniósł do Anglii i razem z Francuzami skonstruował Concorde'a.

Arrow od pierwszych lotów wyrównywał rachunki zainwestowanych w nim nadziei. Jak powiedział Janusz Żurkowski, Arrow latał jak ptak, z każdym lotem wyżej i szybciej. Już w trakcie lotów próbnych stał się światową sensacją i został okrzyknięty najlepszą konstrukcją lotniczą doby powojennej, która technologicznie wyprzedzała wszystkie podobne konstrukcje o lat co najmniej dwadzieścia - tyle zabrało Rosjanom dorównanie Kanadyjczykom. Dopiero ich Mig-29 dogonił Avro Arrow osiągamiami, ale przegrał z kretelem w dziedzinie aerodynamiki, czystości linii i „kosmicznego” wyglądu, zapowiadającego wielkie możliwości rozwojowe tej konstrukcji.

Już po likwidacji programu inżynierowie zwolnieni z Avro Canada - i dosłownie z dnia na dzień zatrudnieni przez Amerykanów, w tym wielu Polaków - współbudowali amerykańską potęgę kosmiczną, łącznie z lądownikiem księżycowym, wahadłowcem Columbia oraz szkoleniem pierwszych astronautów. Rząd kanadyjski zamykając program Arrow nie tylko odbierał pracę piętnastu tysiącom ludzi, zatrudnionym w zakładach Avro i Orenda (silniki odrzutowe) oraz tysiącom współpracujących kontraktorów, odebrał też Kanadyjczykom poczucie własnej wartości. Gdy złamano Strzałę, Janusz Żurkowski powiedział: „To tak prawie jakby nasz duch, jako narodu, umarł”. Nieco później napisał we wstępie do książki *Shutting Down the National Dream*:

Rządy i palniki mogą zniszczyć samolot, ale nie są w stanie zniszczyć nadziei, pragnień i wielkości poszukującego ducha. Marzenie żyje dalej w sercach ludzi[1].

Wielu specjalistów lotniczych i ekonomistów, publicystów i polityków nie może

przeboleć bezpowrotnie utraconej przez Kanadę szansy stania się światową potęgą technologiczną. Kanada pozostała w powszechnym odczuciu krajem pionierów, rolników i traperów, krajem surowcowym. Po kilkuletnim „supersonicznym zawrocie głowy” wróciła do tradycji i mentalności przodków. Podobnie postąpił Żurakowski. Odrzucił kuszące propozycje wielkich zakładów lotniczych w Stanach Zjednoczonych, gdyż chciał pozostać w Kanadzie. Miał 44 lata. Był wybitnym pilotem-oblatywaczem, specjalistą w dziedzinie najbardziej zaawansowanych technologii przyszłości, ale postanowił zostać pionierem w kanadyjskim buszu. Zdecydował się rozpocząć życie od nowa, nieomal na wzór pierwszych osadników – od wyrębu drzew, budowy kabiny, a potem domu. Z naddźwiękowego myśliwca przesiadł się na traktor. Wziął do rąk siekierę i łopatę. Zaczął karczować busz, zrąbane drzewa przerabiać na deski, z desek budować rodzinne gniazdo oraz – eksperymentalne łodzie i skutery śnieżne, napędzane silnikiem wyposażonym w śmigło. Duch pilota doświadczalnego nie pozwolił mu spocząć na laurach.

Janusz Żurakowski miał dwa życia: lotnicze i osadnicze, miał też dwa pogrzeby. W pierwszym, 12 lutego 2004 roku pochowano go pośród... brył lodu z jeziora Kamaniskeg: ziemia na kadyjskich Kaszubach była zbyt zmarznięta, by można było wykopać grób. Dopiero w kwietniu odbył się drugi, już ten właściwy pochówek na cmentarzu Parafii św. Jadwigi przy Siberia Road w Barry's Bay. Leży tam obok żony Anny, która dołączyła do męża we wrześniu 2015 roku.



Ostatni spacer Janusza Żurakowskiego, Kartuzy Lodge, 19 maja 2003 r., fot. M. Kusiba.

Uznawany za jednego z najlepszych pilotów doświadczalnych wszech czasów, pułkownik Żurakowski jeszcze za życia wpisany został w poczet członków honorowych Międzynarodowego Stowarzyszenia Pilotów Doświadczalnych (Honorary Fellow of the Society of Experimental Test Pilots) w Los Angeles – obok nazwisk zdobywcy Atlantyku Charlesa Lindbergha i zdobywcy Księżyca Neila Armstronga. Otrzymał tytuł „Pioniera kanadyjskiego lotnictwa”, prestiżową nagrodę Trans-Canada McKee Trophy za rok 1958 oraz został członkiem Galerii Sławy (Canadian Aviation Hall of Fame) kanadyjskiego lotnictwa. Jego imię nosi główny budynek Centrum Lotów Doświadczalnych w Cold Lake w Albercie. Otrzymał też nagrodę James’a Floyd’a, konstruktora Avro Arrow. W Kanadzie wybito srebrną, 20-dolarową monetę ze złotą podobizną Żurakowskiego i sylwetką CF-100 na awersie i królowej Elżbiety II na rewersie. Odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych (trzykrotnie), w roku 1999 otrzymał od władz III RP Krzyż Komandorski Orderu

Zasługi, a Polski Klub Pilotów Doświadczalnych wręczył mu złotą odznakę z numerem 2 (odznakę z numerem 1 nadano Bolesławowi Orlińskiemu). Janusz Żurkowski został też laureatem „Błękitnych Skrzydeł” - nagrody „Skrzydlatej Polski”. W lipcu 2003 roku społeczność Barry’s Bay w hołdzie swemu najsłynniejszemu obywatelowi ufundowała Park Żurakowskiego, gdzie stanął naturalnej wielkości pomnik pilota oraz replika Avro Arrow (w skali 1:4).



Park Żurakowskiego w Barry’s Bay, fot. M. Kusiba.

[1] G. Stewart: *Shutting Down the National Dream: A.V. Roe and the Tragedy of the Avro Arrow*. Whitby, Ontario 1997, 1988, p. X.

W 1997 roku powstał film p.t. „The Arrow” w reżyserii Dona McBrearty (red.).

„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Rozmowy o książkach, które nie przemijają. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów opracowana przez Aleksandrę Ziółkowską-Boehm.



Melchior Wańkowicz i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. ach. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Uważana jest Pani za znawczynię twórczości Wańkowicza, pisarz stał się Pani „wizytówką twórczą”. I mimo, że porusza Pani w swoich książkach różne

tematy, takie jak np. wątki historyczne („Z miejsca na miejsce: W cieniu legendy Hubala”, „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści”, „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon”, „Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża”), własne życie („Ulica Żółwego Strumienia”, która ma drugie wydanie, także po angielsku w Stanach Zjednoczonych), opowieści o ciekawych ludziach, Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej, Indianach, czy... kotach („Podróże z moją kotką” mają dwa wydania, ukazały się także w języku angielskim), to w Pani dorobku twórczym dużą i ważną część stanowią książki poświęcone tematyce Wańkowicza. Czy mogłaby by Pani je przywołać i przypomnieć, dlaczego zajmuje się Pani tym pisarzem?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Znałam pisarza jedynie dwa lata i cztery miesiące, opowiem o pierwszym spotkaniu. Często je przywołuję, pytana „jak się wszystko zaczęło”.

Jako temat pracy magisterskiej na filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego wybrałam twórczość Melchiora Wańkowicza. Po roku zbierania materiałów, napisałam do niego list. W odpowiedzi zaprosił mnie do Warszawy, wyznaczył konkretny dzień: 20 maja 1972 roku. Na spotkaniu wypytywał mnie o znajomość swoich książek, przeczytał moje „prace zaliczeniowe” na temat jego kilku książek, i... zaproponował, bym wyszukiwała materiał do książki, przy której właśnie pracował (okazała się jego ostatnią) poświęconej procesowi pisania.

A także, co było dużym zaufaniem, pożyczył mi do domu jedną z teczek swojego bogatego archiwum. Moja praca magisterska posuwała się ładnie do przodu. Co dwa tygodnie przywoziłam materiał, na tzw. fiszkach wypisywałam cytaty z wielu publikacji – zwykle biografii różnych twórców – m.in. jak patrzę na proces tworzenia. Książkę zatytułował „Karafka La Fontaine’a”, niebawem ukazał się jej pierwszy tom. Zaczął pracę przy tomie drugim.

Przed końcem studiów pisarz zaproponował mi, bym nie tylko kontynuowała pracę *researcherki*, ale bym przeniosła się do Warszawy i pracowała u niego na pełny etat jako asystentka i sekretarka. I tak zaczął się kolejny etap pracy z pisarzem.

Wańkowicz zadedykował mi swoją ostatnią książkę (konkretnie drugi tom „Karafki La Fontaine’a”, a dedykacja brzmi: „Mojej sekretarce mgr Aleksandrze Ziółkowskiej,

bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to znacznie gorsza książka” – przyp. J.SG), zapisał mi też w testamencie swoje archiwum.

10 września 1974 roku, sześć miesięcy po ciężkiej operacji, Wańkowicz zmarł.

Archiwum jest dotychczas w moim posiadaniu, część tzw. bibliofilską przekazałam do wrocławskiego Ossolineum, gdzie wcześniej sam pisarz przekazał część archiwum.^[1]

Po śmierci pisarza napisałam książkę „Blisko Wańkowicza” (Wyd. Lit. 1975, 1978, 1988), która cieszyła się dużą popularnością, miała trzy wydania, każde ukazało się w 30-tysięcznym nakładzie (wtedy podawało się nakład).

W 1979 roku na Uniwersytecie Warszawskim obroniłam pracę doktorską na temat Wańkowicza. Zaczęłam pisać pod kierunkiem prof. Juliana Kryżanowskiego, po jego śmierci moim promotorem była prof. Janina Kulczycka-Saloni.

Napisałam kolejne książki: „Proces Melchiora Wańkowicza 1964 roku” (1990), i „Na tropach Wańkowicza” (miała trzy – w miarę znajdywania materiałów np. z IPN – uzupełniane wydania; trzecie ukazało się pod tytułem „Na tropach Wańkowicza po latach” (Wyd. Prószyński i S-ka 2009).

Od lat piszę też książki o innej tematyce, ale zawsze pozostałam wierna tematowi Wańkowicza.

Napisałam wstęp i przypisy do Wańkowicza „Reportaży zagranicznych” (WL 1981), prowadziłam serię: „Dzieła emigracyjne i Dzieła powojenne Melchiora Wańkowicza” (Wyd. Polonia 1990-1992), opracowałam (wstęp, przypisy): „Korespondencja Krystyny i Melchiora Wańkowiczów” (Wyd. Twój Styl 1992), „Korespondencja Jerzy Giedroyc – Melchior Wańkowicz” (seria „Archiwum Kultury”, wyd. Czytelnik 2000), „King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów”, 2 tomy (2004).

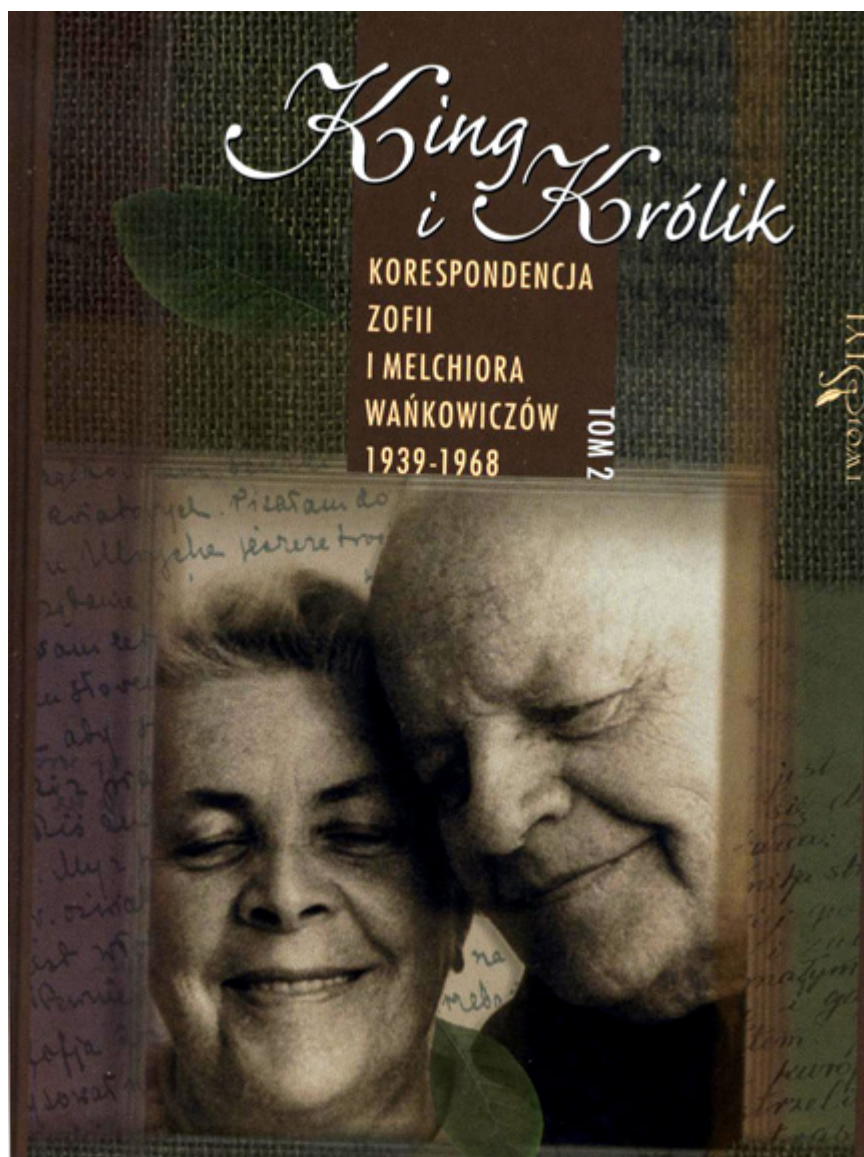
Byłam redaktorem i pisałam posłowania do każdego z 16-tu tomów serii „Dzieła Melchiora Wańkowicza” (2009-2012, wyd. Prószyński i S-ka) rozpoczętej tomem „Bitwa o Monte Cassino”. Seria obejmuje niewydane wcześniej tytuły, jak „Reportaże z Wołynia” i „Ziemia za wiele obiecana”.

W prasie opublikowałam listy z Marią Dąbrowską, Czesławem Miłoszem, Catem

Mackiewiczem, jak i wiele artykułów ogólnych na jego temat. Także eseje drukowane w dwóch dużych odcinkach w angielskojęzycznym cenionym naukowym nowojorskim kwartalniku „The Polish Review”, który także zamieścił wybór listów Wańkowicza do żony.

W Stanach Zjednoczonych ukazała się „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” z przedmową Charlesa S. Kraszewskiego (Lexington Books, 2013, 2017). W książce tej nazwałam pisarza „polskim Hemingwayem”.





Dlaczego korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną Zofią, została wydana dopiero 30 lat po śmierci pisarza?

Szukałam wydawcy przez 15 lat. Podpisywałam umowy kolejno z IW PAX, Wyd. Polonia, Wyd. Prószyński i S-ka. Odkładali, rezygnowali, bankrutowali, przymierzali się do wydania skróconej wersji, mówili, że „Wańkowicz już się tak nie sprzedaje”. I chwała Wydawnictwu Twój Styl, które bez dotacji, bez pomocy, odważyło się na druk – i wydało te dwa tomy przepięknie.

Jaka jest rozpiętość czasowa tej korespondencji?

Korespondencję między Zofią i Melchorem Wańkowiczami otwiera list Melchiora do narzeczonej z 1914 roku. Pierwszy tom obejmuje lata do wybuchu wojny, drugi

kończy się na 1968 roku (pani Zofia zmarła w 1969 roku). Publikowane listy stanowią całość zachowanej korespondencji. Przeważająca większość pisana jest ręcznie.

W listach pisanych ręcznie i to przez tak długi okres czasu, mogą się zdarzyć błędy, przygotowując korespondencję do druku, wiele rzeczy trzeba też ujednolicić. Czy przy opracowywaniu korespondencji Państwa Wańkowiczów do publikacji, dużo musiała Pani wprowadzać zmian?

Od 1914 roku dwukrotnie w Polsce zmieniano zasady pisowni, sami autorzy listów też dostosowywali swoją pisownię do zmian zachodzących w ciągu lat trwania ich korespondencji. Ogólnie jednak poprawiona została pisownia i ujednolicone zapisy dat, skrótów, itd. Wszystkie te zmiany opisałam w dołączonej Nocie Redakcyjnej. Książkę poprzedza mój wstęp, kończy kalendarium życia i twórczości. I oczywiście jest mnóstwo przypisów.

Jakie informacje znajdują się w przypisach? Czy długo rozwiązywała Pani różne kryjące się w rękopiśmiennych tekstach „zagadki”?

Przypisy rosły latami. Niektóre dość wcześnie rozwiązałam, gdyż były encyklopedyczne, do wielu musiałam szukać informacji w przeróżnych publikacjach, do innych trafiałam nieraz przypadkiem. Mam już na ten temat anegdoty. Np. w jednym z listów jest fragment, mówiący o tym, że u generała Sosnkowskiego, nad ranem śniadanie podała „gen. Kuka”. Nie miałam pojęcia, kim była „gen. Kuka”, a odręczne pismo Wańkowicza dobrze już znam, nie miałam więc wątpliwości, że tak właśnie napisał. – Może generał Kukiel? – podrzucali mi znajomi. – Jak to, generał Kukiel podał im śniadanie? Aż pewnego dnia moja znajoma spytała – Czy widziałaś, co ta Kuka wygadywała w rozmowie z Kowalskim?... Chodziło o generałową Sosnkowską, z którą wywiady w telewizji przeprowadzał historyk Kowalski. – Jaka Kuka? Co ty powiedziałaś? – Bo tak nazywano panią generałową – powiedziała mi znajoma.

Ostatni przypis dotyczący amerykańskiego narzeczonego Tili – córki pisarza, rozwiązałam trzy miesiące przed oddaniem książki do druku. Odnalazłam w Sarasocie na Florydzie Pawła Jeśmiana, o którym donosiła w listach ojcu i o którego pani Zofia, nie wiedząc, że Tili z nim zerwała i wyszła za mąż za Jana Erdmana,

pytała – Jak się miewa Paweł, mąż Tili?

Poza tym, od ludzi pamiętających starą Warszawę dowiadywałam się różnych adresów, np. gdzie można był oddać futro na przechowanie, itd. W przypisach przywoływałam często fragmenty książek Wańkowicza, aby przybliżyć konkretną postać i pokazać, jak ją pisarz utrwalił.

Korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną jest już kolejnym opublikowanym przez Panią zbiorem listów (po korespondencji Melchiora Wańkowicza z Jerzym Gedroyciem, z córką Krystyną, czy Pani własnej korespondencji z Szymonem Kobylńskim). Jak dalece ważne jest w ogóle publikowanie korespondencji, a w tym przypadku listów Wańkowicza?

Listy są zazwyczaj najdostępniejszym i najbardziej wiarygodnym materiałem badawczym. Tym bardziej, jeżeli są pisane do osoby bliskiej, przed którą nie trzeba udawać i odgrywać żadnych ról. Publikacja tej korespondencji ma duże znaczenie choćby z tego powodu, że ukazuje pisarza niejako odsłoniętego, nie ukrytego za parawanem, za wyobrażeniem, jakie chciał utrwalić o sobie i jakie nieraz propagował na użytek ogółu. W listach do żony, najbliższej mu osoby, nie stosuje auto cenzury, nie ukrywa swoich sądów, opinii. Korespondencja Wańkowicza odsłania nam pisarza, jakiego nie znamy, człowieka trapionego zwątpieniami i trudnościami, ukazuje jego przemyślenia na temat samego procesu kreacji, warsztatu pracy, ujawnia hierarchię towarzyszących mu w życiu wartości. Pokazuje jego ogromną pasję tworzenia, pracy.



Zofia i Melchior Wańkowiczowie, Sopot 1958, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Jaką tematykę obejmują te listy?

Możemy w nich prześledzić na przykład decyzje pisarza powrotu do Polski (wokół której narosło wiele legend), jego autentyczną walkę z biedą materialną, zarówno przed wojną, jak i na emigracji. Słynny Domeczek na Dziennikarskiej na Żoliborzu państwo Wańkowiczowie zdecydowali się wynająć, bo nie dawali rady ze spłatami kredytów, sami zamieszkali w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Mianowskiego na Ochocie. Trudności finansowe nie opuściły go także w Stanach Zjednoczonych, gdzie pani Zofia w pewnym okresie sprzątała domy.

Czy jest tam wątek kanadyjski?

Tak, pojawia się tam wiele razy wątek zarówno kanadyjski, jak i amerykański. Dojrzewanie decyzji powrotu do kraju można prześledzić w listach z 1955 roku,

obejmujących okres drugiego – po pięciu latach – objazdu Kanady z odczytami w ośrodkach polonijnych, w celu zebrania materiału do kolejnej książki (Pierwsza – „Tworzywo” ukazała się w Nowym Jorku w 1954 roku) poświęconej wychodźstwu polskiemu. Sytuacja, jaką zastał w Kanadzie, była inna od poprzedniej, nie spotkał się ani z dużym oddźwiękiem, ani nawet z zainteresowaniem, co do planów i zamierzeń. Pisał do żony:

Jeszcze nie wiem, czy będę kontynuował podróż. Sądzę, że będę się pchał, póki się da. Atmosfera jednak, która mnie spotyka, jest nie tyle atmosferą hołdu, ile zniecierpliwienia natręctwem (...). Sądziłem, że po pięciu latach będzie lepiej: ludzie czują się pewnie, poczną wracać do spraw kultury polskiej. Jest jednak inaczej (3 marca 1955).

I ciekawe zdanie (23 marca 1955):

Pamiętaj, że jeśli się nie wydźwigniemy tu, to jedyna możliwość życia aktywnego pozostaje w kraju.

King i Królik, czyli Melchior i Zofia Wańkowiczowie, stanowią parę literacką utrwaloną w wielu książkach („Ziele na kraterze”, „Atlantyk-Pacyfik”, „Królik i oceany”, „W pępku Ameryki”). Jaka jest pani Zofia?

Osobowość pani Zofii rysuje się nie mniej wyraziście niż Melchiora, jest ona postacią niezwykłą. Szczególnie wstrząsające są niemal codzienne kartki pisane przez nią w roku 1940-41. W latach II wojny światowej dom Wańkowiczów na Dziennikarskiej (do którego Pani Zofia wróciła po wybuchu wojny, wynajmowała pokoje) służył jako schronienie dla zbiegłych jeńców, Anglików i Polaków, z obozów jenieckich. W szeregach patronatu nad więźniami Zofia Wańkowiczowa niosła pomoc m.in. uwięzionym na Pawiaku i w obozach koncentracyjnych.

Listy Zofii i Melchiora Wańkowiczów stanowią przykład związku dwojga ludzi, którzy przeszli razem przez życie, ludzi sobie oddanych i mających wspólne wartości.



Krystyna Wańkowicz, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Zofia Małagowska, późniejsza żona Melchiora Wańkowicza, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Z książek pisarza znane są także dwie córki państwa Wańkowiczów - Krysia i Tili. Jak je widzą rodzice w korespondencji?

Obserwujemy oczekiwanie na ich narodziny, ich dzieciństwo. Pani Zofia prowadzi np. „Dzienniczek Krysi” zapisując wszystkie jej powiedzonka, kolejno – dojrzewanie i młodość. Jest to przejmująca saga rodzinna, czy dla innych – „Ziele na kraterze” rozpisane w listach. Jednym z bardziej przejmujących listów jest pisany w roku, w którym Pani Zofia donosi: „Krysia, jak mówiły sanitariuszki i koledzy, zginęła 6 sierpnia, między dziesiątą, a jedenastą rano, w niedzielę, w dzień Przemienienia Pańskiego, na Woli, wraz z całą grupą od granatnika. Kopiemy na Woli i

pochowaliśmy wielu jej kolegów, ale tej grupy nie znaleźliśmy dotąd.^[2] Rom zginął 1 sierpnia o dziewiątej wieczór na Mokotowie. Bisia widziana w końcu września w gestapo na Szucha, zaginęła bez wieści. Tolę Niemcy rozstrzelali pod Skierniewicami, gdy pojechał szukać wiadomości o dzieciach”.

W pierwszym tomie przypatrujemy się jak te dzieci rosną, zarówno Krysia, córka Melchiora i Zofii, jak i Rom i Bisia, czyli syn i córka Tola, brata Melchiora.

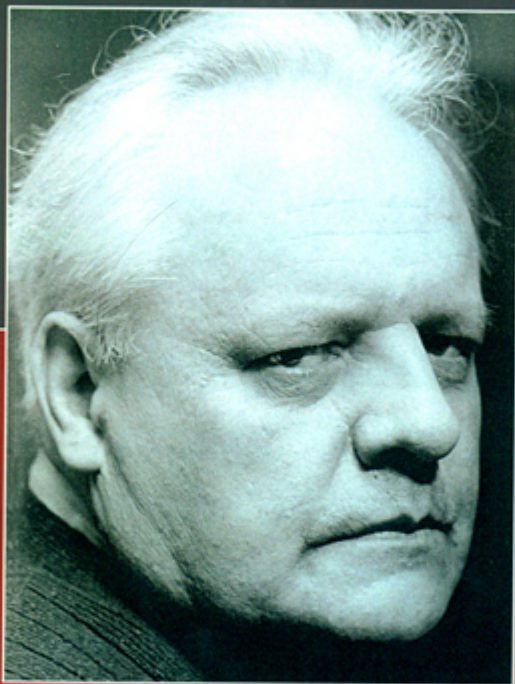
Czy druk tego rodzaju prywatnej korespondencji nie jest rodzajem wścibstwa?

Niewątpliwie tak, ale w przypadku Melchiora Wańkowicza jest to wścibstwo uzasadnione, mamy bowiem do czynienia z pisarzem, którego życie stanowi pasjonujący reportaż. Jego bohaterem jest sam pisarz przywołujący sens ludzkiej przygody. I sam pisał o swojej rodzinie w książkach.

Co na książkę mówiła żyjąca rodzina Melchiora Wańkowicza?

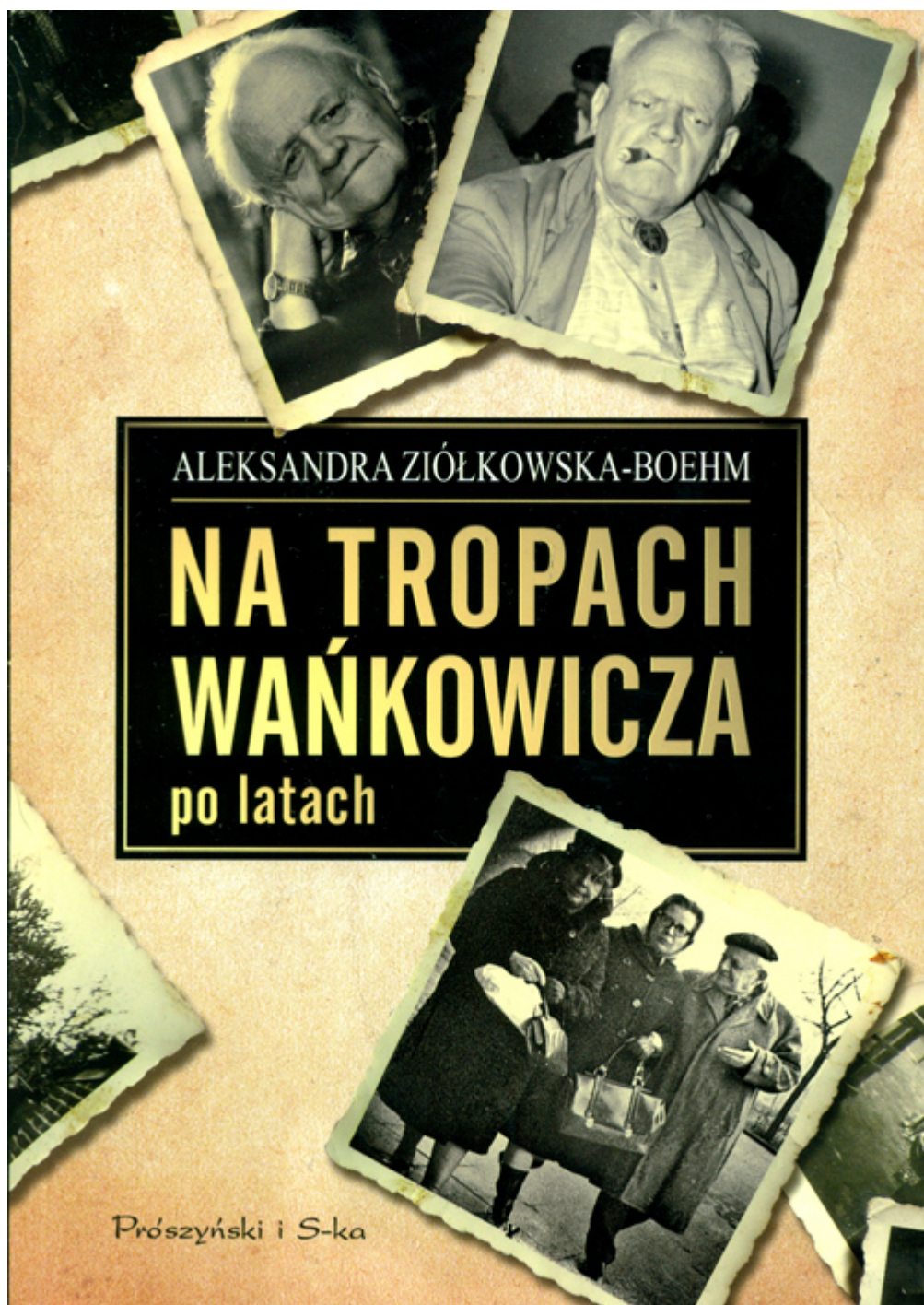
Prawnukowie Wańkowicza (ich rodzice, Ania Erdman i Tadeusz Walendowski zmarli w 2004 roku) wychowani zostali w Stanach Zjednoczonych. Starszy, Dawid, z którym mam kontakt, od lat mieszka w Polsce. Napisał mi, że nie mógł być na warszawskiej promocji w grudniu, bo był za granicą.

MELCHIOR WAŃKOWICZ



Poland's Master of the Written Word

ALEKSANDRA
ZIOLKOWSKA-BOEHM



Gdzie i kiedy miała miejsce promocja i jak wyglądała?

Promocja książki odbyła się 15 grudnia 2004 r., w Wyższej Szkole Dziennikarstwa im. Melchiora Wańkowicza w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 58. Największa sala Szkoły wypełniona była po brzegi. Przyszło wielu znakomitych ludzi. Głos zabrał m.in. legendarny mecenas Stanisław Szczuka, obrońca w wielu ważnych procesach (prowadził kiedyś tzw. proces taterników). On był wykonawcą testamentu pisarza. Spotkanie prowadził znakomity krytyk literacki, Krzysztof Masłoń. Fragmenty książki

czytali znani aktorzy Krzysztof Wakuliński i Anna Romantowska.

Czy były odgłosy w prasie?

Wydanie tych dwóch tomów nazwano wydarzeniem literackim, w radiu i telewizji dużo mówiło się o tej książce, w programie TV „Z górnej półki” (prowadzonym przez Tadeusza Górnego) była nadana rozmowa ze mną. W popularnych dziennikach pojawiły się dość szybko recenzje. „Rzeczpospolita” kolejnego dnia po promocji dała duże omówienie, „Życie” zamieściło obszerny wywiad ze mną, w „Gazecie Wyborczej” Marek Radziwon nazwał Wańkowicza jednym z najwybitniejszych polskich pisarzy XX wieku. Pojawiły się recenzje w miesięcznikach literackich, takich jak „Nowe Książki” i inne. Patronatem medialnym książkę objął m.in. krakowski „Tygodnik Powszechny”.

Od lat walczy Pani o dobre imię Melchiora Wańkowicza. Kiedy pojawiają się artykuły wynikające z przekłamania i powtarzania niesprawdzonych informacji, zawsze staje Pani w obronie pisarza.

Pojawiały się artykuły np. w szanowanym Biuletynie IPN – krzywdzące i niesprawiedliwe wobec pisarza upraszczające sprawy, wyciągające pochopne wnioski.

Cieszę się, że np. opracowując „Listy Wańkowicza z Jerzym Giedroyciem” w swojej własnej z nim korespondencji, prowadzonego dialogu, pod wpływem szczególnej perswazji, zmienił swój wstęp – na serdeczniejszy i sprawiedliwszy w stosunku do pisarza (mam pełną dokumentację naszej wymiany listów i pierwszy wstęp)

Dzięki Pani Melchior Wańkowicz jakby nie umarł, jest w jakimś sensie nieśmiertelny. Co to dla Pani oznacza?

Pisanie na temat twórczości i życia Wańkowicza jest moim swoistym obowiązkiem, a także długiem wdzięczności wobec pisarza, który mnie, wtedy młodej bardzo osobie, zawierzył swoje archiwa. Mijają kolejne lata od jego śmierci w 1974 roku. Opublikowanie korespondencji było swoistym powrotem pisarza. Oby jak najszerszym. Dla mnie to ogromna radość i satysfakcja.

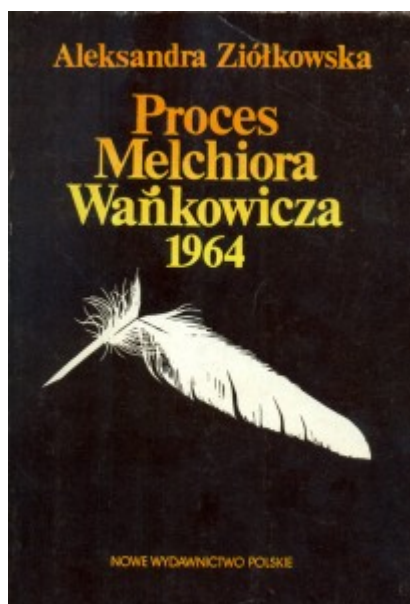
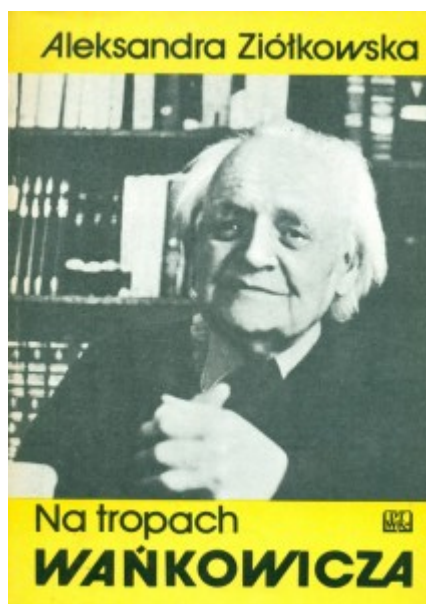
**„King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów”,
opracowanie, wstęp i przypisy Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Twój Styl,
Warszawa 2004.**

Przypisy:

^[1] Pamiątkową część, np. gabinet Wańkowicza wraz z księgozbiorem- córka pisarza Marta Erdman - przekazała do Muzeum Literatury w Warszawie, gdzie jako stałą ekspozycję otwarto gabinet Wańkowicza (obecnie znajduje się w filii Muzeum w Aninie pod Warszawą).

^[2] W książce „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści” (Iskry, Warszawa 2014) zamieściłam rozdział „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny - opowieść „Gryfa””. Janusz Brochwicz Lewiński „Gryf” opowiedział mi o Krystynie, jak zginęła i gdzie ją pochował.





Aleksandra Ziółkowska-Boehm, doktor nauk humanistycznych, pisarka. Od 1990 roku mieszka w Wilmington w stanie Delaware w USA. W latach 1972-1974 była asystentką i współpracowniczką Melchiora Wańkowicza oraz redaktorką jego dzieł. W latach 1977-81 pracowała w Redakcji Repertuaru Teatru TVP. Stypendystka m. in. Oxford Language Centre w Oksfordzie, Ministerstwa Kultury Ontario, Fundacji Kościuszkowskiej, amerykańskiego Sekretariatu Stanu, Fulbrighta.

Jest autorką wielu książek, m.in.: „Blisko Wańkowicza”, „Na tropach Wańkowicza po latach”, „Dreams and Reality”, „Z miejsca nam miejsce”, „Moje i zasłyszane”, „Kanada, Kanada”, „Nie tylko Ameryka”, „Amerykanie z wyboru”, „Ulica Żółwiego Strumienia”, „Nie minęło nic, prócz lat” (korespondencja z Szymonem Kobylińskim), „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon”, „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego Krzyża”, „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści”, „The Roots Are Polish”, „Podróże z moją kotką”, „Senator Stanley Haidasz A Statesman for All Canadians” (Montreal 2014).

W Stanach Zjednoczonych ukazały się: „Open Wounds – A Native American Heritage” (2009), przedmowa: Radosław Palonka; “On the Road With Suzy: From Cat to Companion” (2010); “Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (2012, 2014), przedmowa: Bruce E. Johansen; “The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (2013, 2015), przedmowa: Neal Pease; „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” (2013, 2017), przedmowa: Charles S. Kraszewski; “Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England” (2013, 2017), przedmowa: Matt DeLaMater; „Ingrid Bergman and Her American Relatives” (2013); “Love for Family, Friends, and Books” (2015); “Untold Stories of Polish Heroes From World War II” (2018), przedmowa: James S. Pula.

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.



Melchior Wańkowicz z żoną i córką, 1960 r., fot. PAP.

Mirosława Pałaszewska

Znany pisarz i reportażysta Melchior Wańkowicz poznał swoją przyszłą żonę Zofię z Małagowskich w Krakowie w 1914 roku poprzez jej braci. Przyszły autor *Szczenięcych lat* i *Ziela na kraterze* kończył tam Szkołę Nauk Politycznych, a Zofia studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zareczyli się jeszcze tego samego roku. W grudniu 1914 napisał do Zofii:

Ogarnia mnie zrozumiała, głupia i niepotrzebna duma. Patrząc na te wszystkie pary zaręczone i swatane na Litwie, na wszystkie panny i młodzież męską – i myśląc o nas – mam wrażenie, że to wszystko gdzieś tam w dole jest małe i

nikczemne u nóg nam się roi.

Wielki jest Pan Bóg i jakże rozliczne szczeble dusz ludzkich!

Wracam na wieś; wracam po te parę słów od Pani, parę słów najobojętniejszych, które odłonią mi może, co moja narzeczona myśli.

Pobrali się 8 lutego 1916 roku. Trzy lata później (8 października 1919) przychodzi na świat córka Krystyna, a 29 lipca 1921 roku – druga córka Marta (znana czytelnikom jako Tili). Przed narodzeniem Marty przyszły ojciec pisał 20 lipca: *To wprost fenomenalne rzeczy, co piszesz – jak jakiś cud Boży, jak kiełkowanie rośliny ten rozwój dziecka. Z głęboką czcią myślę o Tobie jako o matce.*

Zofia Wańkowiczowa przebywa wówczas w Jerce, majątku dzierżawionym przez brata Melchiora – Witolda. Głowa rodziny mieszka w Warszawie przy ul. Elektoralfnej 49/5. Korespondencja między małżonkami jest dość ożywiona. Bardzo ciekawe są listy pani Zofii cytujące zabawne powiedzenia i zachowania córek. Jesteśmy świadkami, jak dziewczynki rosną. Twoje listy o dzieciach są moja najwyższą i jedyną właściwie przyjemnością – podsumowuje Wańkowicz.

Proponując żonie przyjazd do Warszawy (po 6 latach małżeństwa) pisał:

Będę oczekiwał u wyjścia na dworzec – zgięty u arkady nisko, niziutko – jeśli p. Fryze pójsć poczekać pozwoli. Potem pocałuję w rękę i będę iść za Tobą do naszego domu, patrzeć na pochyłą linię szyi, gdzie rośnie ten najdelikatniejszy puch – i cicho cieszyć się. A w pewnej chwili Ty się odwrócisz i wejrzysz na mnie swoimi oczami jasnymi. Mój Boże!

A ona komentuje potem ten pobyt:

Taki byłeś ładny, jak leżeliśmy na plaży w ostatni dzień wyjazdu mego. Chciałam Cię ucałować, ale się spieszyłam. Obejmuję serdecznie.

Zachowane listy z okresu przedwojennego pani Zofia opatrzyła słowami:

W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia.

Świadczą o tym słowa Melchiora, które przekazał Zofii jej ojciec:

Mel upatruje w Tobie cnoty, przymioty, talenta prawdziwie wszelakie, o które ja, Ojciec, nawet nie podejrzewałem Cię.

Kiedy już zamieszkali razem w Warszawie on został Kingiem (podczas czytania dziewczynkom *W pustyni i w puszczy* na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci), ją nazywano Królikiem. W *Zielu na kraterze Wańkowicz* pisał:

Mama-puszyste łapki – dzierżyła rządy tego Domeczku. Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi. Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko – Królik. To poszło od anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku – jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdławił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza – jak Boga kocham – to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem – o tak!”

Ponieważ „wilk okropnie „zły” nieraz wybuchł: „Bo ty zawsze zaczynasz”, więc Mama została królikiem.

Miłość między małżonkami przetrwała. W czasie wojny byli daleko od siebie. Melchior Wańkowicz przekroczył we wrześniu 1939 granicę z maszyną do pisania. Znalazł się w Rumunii, dokąd 24 III 1940 przybywa jego córka Marta. Potem trafia na Cypr, wyjeżdża do Palestyny, pracuje jako korespondent wojenny we Włoszech. Ona całą okupację spędza wraz z drugą córką (poległą w czasie powstania) w Warszawie. Spotkają się znowu 24 XII 1945, kiedy to Zofia przybywa do Włoch. Następny etap w ich życiu to domek na Ealingu w Londynie, kolejny wyjazd – tym razem za ocean – do Stanów Zjednoczonych. Listy do małżonki pisuje podczas objazdu Kanady (8 IX – 16 XII 1950). Odwiedza kraj w 1956 roku, a dwa lata później

małżonkowie już na stałe wracają do kraju. I znowu listy z objazdu (tury odczytowej), tym razem po Polsce. Potem listy nieliczne są wysyłane do szpitala, gdzie przebywa pani Zofia. Ostatnia kartka została napisana przez pisarza 22 I 1968 roku:

tak się każdy wyśpi,

Jak se pościele,

No i moje wyjście

Przespaaś Aniele.

Idę do Biblioteki

Znaczy Narodowej,

Mimo Twoje skrzeki

Brać olej do głowy.

Zofia Wańkowiczowa zmarła 20 maja 1969 roku. W jakiś czas potem Pan Melchior rozesłał do znajomych i przyjaciół także piękne podziękowanie:

Dziękuję za słowa żalu po śmierci Żony rodzinie, kolegom, przyjaciółom i znajomym, redakcjom, wydawnictwom, stowarzyszeniom i instytucjom.

Dziękuję za listy czytelników, którzy pod niefrasobliwym tekstem książek zrozumieli, że to o towarzyszu życia kochanym, potrzebnym, koniecznym. Listy były tak przejmujące, jakby pisali o kimś najbliższym.

Już Jej nie pokażę tych listów z Polski i ze świata, już jej nie będę mógł powiedzieć, jak pojedynczo składane kwiatki pokryły wieńce ze wstęgami.

To już tylko dla mnie ta otucha, te nieraz nieporadne listy, te koperty bez właściwego adresu, na których wypisano słowa pełne dobroci.

Dziękuję, całym sercem za Króliczka. Ale go już nie ma.

Wsparliście mnie w tych najcięższych dniach utraty tej, która towarzyszyła mi pięćdziesiąt trzy lata, a której nie stało u kresu pisarstwa.

Rzeczywiście, Zofia Wańkowiczowa była dla swojego małżonka partnerem i towarzyszką życia przez te wszystkie lata. Świadczą o tym listy, jakie pisali do siebie będąc w oddaleniu. Ona pisała do Niego:

29 VII 1940: Tak Ciebie kocham. I dzieci.

4 X 1940. Mam zawsze Twój list w torebce, aby się przytulić, i list Małej, aby się uśmiechnąć. A 11 X 1940: Tak bym się chciała do Ciebie przytulić, bo ucho boli i dokucza głuchota, i trudno pracować.

On listy do Niej rozpoczyna:

Najdroższe Moje (i milutkie) Kochanie; Kochana Zosieńko; Zosinku Mój Drogi! Moja Maleńka; Moja Miła, Moja Kochana, Kochana Mojuśka. W liście z 1966 roku, a więc w pół wieku po ślubie pisze: Myślę o Tobie ciągle, jestem ciągle przy Tobie i chciałbym, żebyśmy już jak najprędzej się połączyli.

Ale listy te mówią jeszcze wiele o ich życiu, prostują obiegowe opinie o dostatnim życiu pisarza. Są wspaniałym uzupełnieniem utrwalonych na kartach Jego książek. Jest to lektura fascynująca.

Rodzina Wańkowiczów odchodzi w przeszłość. 6 sierpnia 1944 zginęła córka Krystyna. Pani Zofia zmarła 29 maja 1969, Melchior 10 września 1974 roku. Nie żyje też córka Marta (Erdman) i jej mąż Jan Erdman. W 2004 roku umarł Tadeusz Walendowski (27 lutego 2004), a niecałe dwa tygodnie później (10 marca 2004) jego żona Anna Erdman, wnuczka Melchiora.

Oby znalazły się oficyny, które zechcą wydawać książki tego wspaniałego reportażysty. By kolejne pokolenia poznawały historię Polski widziane oczyma świadków.

Korespondencja pisarza mogła się ukazać dzięki wieloletnim zabiegom Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, której pisarz zapisał swoje archiwum. Już wcześniej opublikowała korespondencję pisarza z Czesławem Miłoszem (na łamach „Twórczości” 1981 nr 10; w II obiegu wydał ją „Głos” w 1986 roku). Nakładem Czytelnika ukazała się w jej opracowaniu w 2000 roku korespondencja z Jerzym Giedroyciem (*Listy 1945-1963*) w serii *Archiwum „Kultury”*. Wcześniej (1993) „Twój Styl” wydał *Korespondencję* Melchiora i Krystyny Wańkowiczów (Ojca z córką). Udostępniła też niżej podpisanej korespondencję Melchiora Wańkowicza i Zofii Kossak (opublikowaną w „Twórczości” 1997 nr 6).

Pani Aleksandra (czy *Oleńka od Wańkowicza*, jak nazwał ją jeden z czytelników) niedługo po śmierci pisarza nauczyła się odczytywać rękopisy i zaczęła przepisywać na maszynie (to nie była epoka komputerów) zachowaną korespondencję małżonków. Wyszło jej ponad 1000 stron. Kołatała do drzwi wielu wydawców. Trzykrotnie podpisała umowę. Dopiero „Twój Styl” zrealizował umowę wydając w dwóch eleganckich tomach, w twardej oprawie całą korespondencję, bez żadnego skreślenia. Pozostaje tylko żal, że nie wszystkie listy się zachowały. Listy te są wspaniałym uzupełnieniem *Ziela na kraterze*.

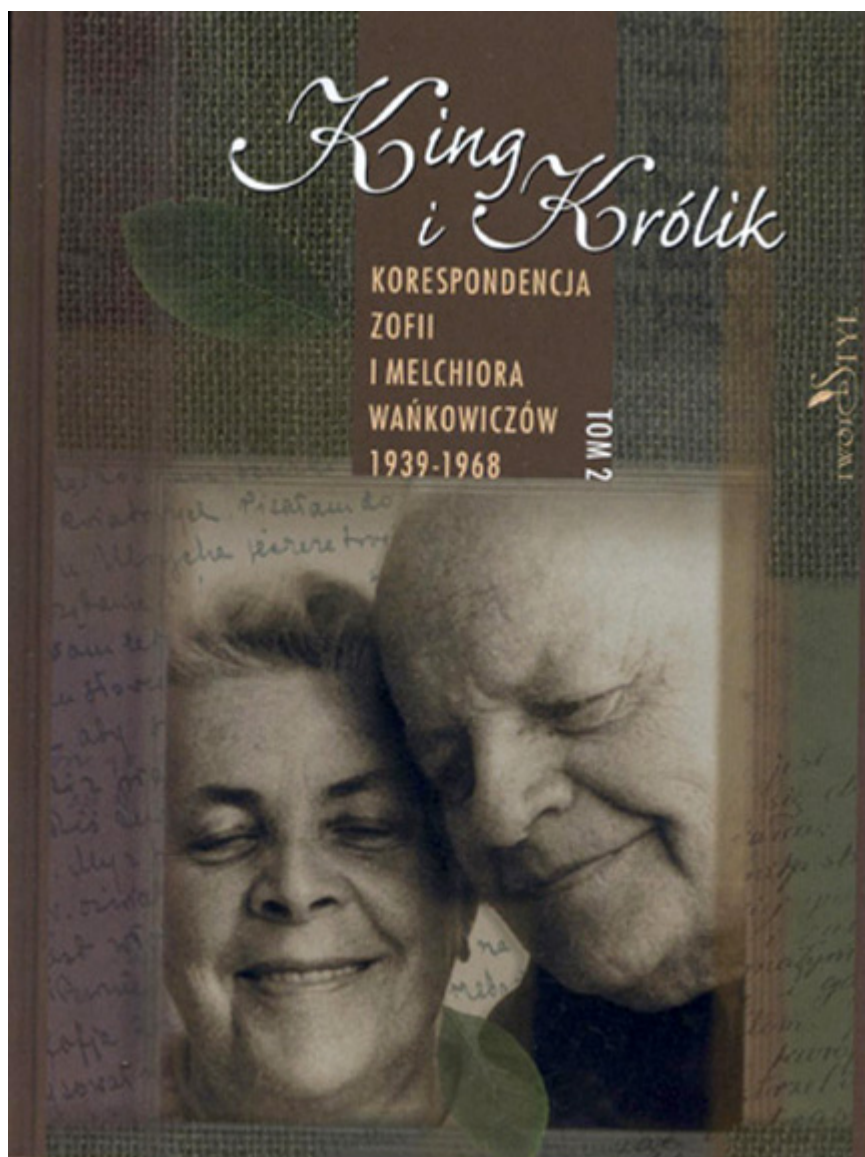
King i Królik

KORESPONDENCJA
ZOFII
I MELCHIORA
WAŃKOWICZÓW
1914-1939

TOM I

WYDAWCA
SIEL

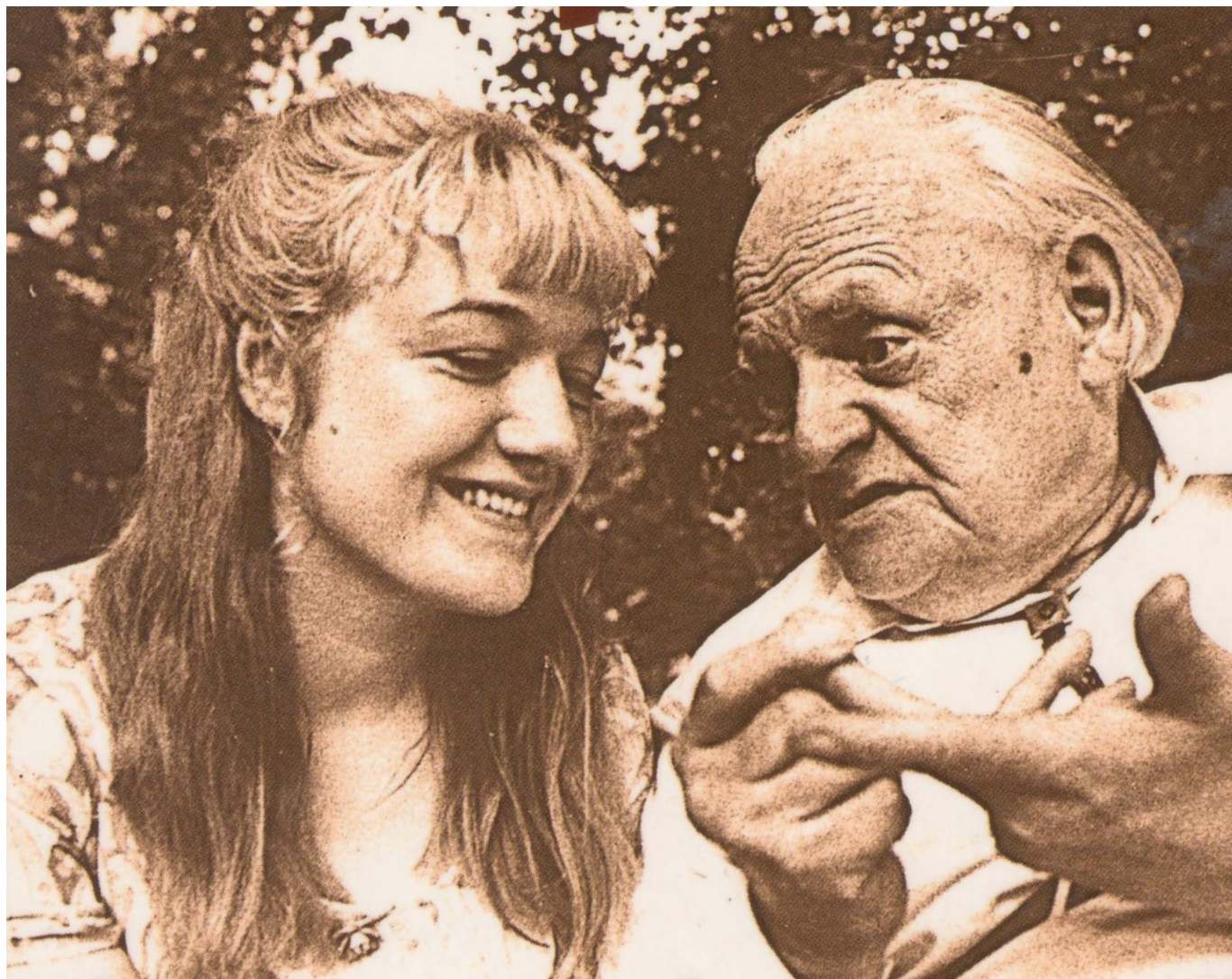




King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów. T.1: 1914-1939, t.2: 1939-1968. Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Warszawa 2004 r., Twój Styl.

Recenzja ukazała się w „Liście oceaniczny” – dodatku kulturalnym „Gazety”, pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, Toronto, nr 25, styczeń 2005 r.

Ziele nie szarzeje



Oleńka Ziółkowska i Melchior Wańkowicz. Oleńka zastąpiła mu utracone córki.

Barbara Wachowicz

„Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni... Poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali”. Owe słowa ostatniego co tak pióro wodził – Melchiora Wańkowicza można także uczynić mottem twórczości Aleksandry Ziółkowskiej-

Boehm, świetnej asystentki i sekretarki autora „Ziela na kraterze”, którą wszyscy przyjaciele do grona których mam szczęście się zaliczać nazywają serdecznie Oleńką.

Oleńka. Serdeczność i ciepło, a zarazem żelazna dyscyplina, nieprawdopodobna pracowitość i precyzja działań. Blask, urok i czar, a zarazem bogactwo tematów, poszukiwań, odkryć. Laureatka wielu prestiżowych nagród, wśród których jest „Złoty Exilibris” Książnicy Pomorskiej, Medal Ignacego Jana Paderewskiego przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Arts Award in the Literature Stanu Delaware... Autorka kilkudziesięciu rewelacyjnych książek poświęconych sławnym Polakom na emigracji, bohaterom Powstania Warszawskiego, a nade wszystko Melchiorowi Wańkowiczowi. Stypendystka wielu reprezentacyjnych fundacji – kanadyjskich, brytyjskich, amerykańskich. Doktor Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka współpracująca z czołowymi pismami polskimi, kanadyjskimi, amerykańskimi.

A była skromną studentką wydziału polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego.

„Świadomość istnienia Boga”

W jakim wyrosła domu? Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolanin, żołnierz 31.Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii „Ulica Żółwiego Strumienia”) – żeby mieć córkę „która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat”. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? „Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała „Drugą bitwę o Monte Cassino”) – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy”.

O swych latach dziecięcych Oleńka pisze: „Całe wspomnienie dzieciństwa to kościół. Już jako trzyletniej dziewczynce Mama wplatała mi we włosy białą kokardę, ubierała w białą sukienkę z falbankami, zawieszała koszyk z kwiatkami”. I tak mała

dziewczyneczka szła w procesji Bożego Ciała. Dom żył obyczajem staropolskim, szlachetnym rytmem świąt. Boże Narodzenie to był opłatek, uroczysta wigilia, pasterka w Łódzkim kościele Dobrego Pasterza. „Małej dziewczynce wydawało się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi” – wspomina Oleńka. Kiedy zwiedziła po raz pierwszy Betlejem opowiada: „Byłam bardzo przejęta odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się znajdując polskie akcenty w Palestynie, stacje Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła Świętego Piotra Rybaka wzniesionym w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrowki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie”. W dniu święta Trzech Króli matka Oleńki zakreślała kredą na drzwiach inicjały imion Kacper, Melchior i Baltazar, co miało uchronić dom od nieszczęścia.

Wielkanoc rozdzwoniona pieśnią Alleluja „obwieszczała światu cudowną nowinę o powstaniu z martwych Jezusa Chrystusa. Wydarzenie to jest esencją wiary wszystkich chrześcijan i leży ono u podstaw istnienia naszej religii. Radosny śpiew «Te Deum» – «Ciebie Boże wychwalamy». To ulubiona pieśń Oleńki do dziś. Jako dziewczynka wędrowała w pielgrzymce do Częstochowy. „Świadomość istnienia Boga jest silna we mnie i może to jest rodzajem łaski? Wiara, religia, obrządki kościelne – z tym rosłam”.

Rosła także na literaturze ojczystej. „Ojciec mawiał, że książki są czymś wielkim. Są życiem, sercem i centrum przemijającego czasu”. Przeżyła z braćmi prawdziwą „epokę Henryka Sienkiewicza” – „Z pałającymi policzkami i wstrzymanym oddechem całymi dniami czytałam przygody Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego. Moje koleżanki kochały się w chłopcach, ja kochałam się w bohaterach literackich”. Jej starszy brat otrzymał imiona Henryk Andrzej na cześć autora „Trylogii” i bohatera „Potopu”. Jej młodszy brat Krzysztof został ochrzczony na cześć Kolumba. Nie wiedzieli ilu odkryć w Ameryce dokona ich utalentowana siostra.



Melchior Wańkowicz przy pracy, Warszawa, 1963 r.. fot. PAP/CAF-Stanisław Dąbrowiecki

Najbliżej Wańkowicza

Wieczory u Pana Melchiora Wańkowicza na Puławskiej. Zapraszał nas – ku wielkiej radości – na stole zawsze stały przygotowane talerzyki dla ewentualnych gości. Był samotny. Utracił obie córki. Krysia zginęła w Powstaniu, Marta została w Ameryce i była jego wielkim rozczarowaniem. Odeszła z tego świata żona – legendarny, ukochany Królik.

I oto promienny kontrast – dom na Studenckiej, odbłask Domeczku z „Ziela na kraterze” – barwy, uśmiech, Oleńka. To ona opromieniła swą osobowością, opieką i sercem ostatnie lata autora „Ziela na kraterze”. Zgłosiła się do najpopularniejszego podówczas pisarza polskiego z drżeniem serca podjąwszy jako temat pracy magisterskiej jego twórczość. Pan Melchior przyjął studenteczkę z dużym dystansem. Zaznaczył, że ma 45 minut czasu i krytycznie zaczął sondować jej wiedzę. Oleńka przezornie miała ze sobą eseje jakie już poświęciła twórczości Wańkowicza. Z 45 minut zrobiły się godziny i tak to się zaczęło...

W swej pierwszej książce „Blisko Wańkowicza”, która momentalnie podbiła

czytelników, Oleńka opowiada o dniach przeżytych z Melchiorzem Wańkowiczem wśród pachnących żywicą lasów nad Liwcem, w domu na Studenckiej, który pisarz zdołał zbudować na ostatnie lata swego życia. Odbywały się tam spotkania ze starymi przyjaciółmi, wyprawy na kiermasze łączące, jak wspomni Oleńka, „wielką radość z wielkim utrudzeniem”. Zakres prac młodziutkiej magistrantki był olbrzymi – żmudne zbieranie materiałów, obowiązek adiustacji, nagrywania, przepisywania, porządkowania biblioteki, organizowania archiwum, czuwania nad obfitą korespondencją. W obu Wańkowiczowskich książkach, bo obok „Blisko Wańkowicza” pojawi się potężny tom „Na tropach Wańkowicza po latach”, są wedle autorki „próby poszukiwania prawdy o Wańkowiczu jako pisarzu i jako człowieku”. To znakomita, wnikliwa charakterystyka sławnego pisarza, u boku którego życie było intensywne i różnobarwne. Sędziwy autor „Strzępów epopei” opowiadał Oleńce o jego trudnościach i bólach, i jak je przewyciężał. „Chciał pokazać, że życie nie jest szare ani różowe, że jest często takie, jakie mu się samemu kolor i sens nada”. Życie w aurze Wańkowicza było pełne kolorów. Żmudny trud Oleńki, jaki włożyła w ostatnią książkę mistrza „Karafka La Fontaine’a” został sownie nagrodzony – Wańkowicz uroczyście zadedykował tę niezwykłą rozprawę między innymi na temat urody języka polskiego – „Mojej sekretarce magister Aleksandrze Ziółkowskiej”.

Pani magister w znakomitym rozdziale „Na końcu języka” analizuje „Karafkę” ów fascynujący „autokomentarz na temat własnej metody twórczej i warsztatu pisarskiego”. Wspaniałe bogactwo Wańkowiczowskiego słowotwórstwa przywołuje Oleńka cytując jego „inwokację do języka”. Pisze Wańkowicz: „Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten niezauważalny, bo nieodłączny towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: słowem, tak siedzącym w celu, że wzruszenie wpływa na jego soczystość, słowem – patosem, że nagle staje się cisza, słowem – komikiem, który rozrzedził patos, (...) słowem z lamusa wydobytym jak zardzewiały brzeszczot, słowem – wspomnieniem pachnącym saszetkami z heliotropu”.

Jest nieskończenie wiele motywów Wańkowiczowskich analizowanych z pietyzmem przez Oleńkę. Rewelacją stały się jej odkrycia dokonane w Instytucie Pamięci Narodowej – donosy agentów Urzędu Bezpieczeństwa tropiących dosłownie każdy krok sławnego pisarza, relacja na temat procesu jaki wytoczono autorowi „Monte Cassino” w roku 1964 z artykułu „dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. Akt oskarżenia zarzucał

Wańkowiczowi, że przemycił za granicę maszynopis zawierający „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową”. Po latach, kiedy w roku 1990 Sąd Najwyższy w procesie rehabilitacyjnym wydał wyrok uniewinniający, Oleńka dotarła do prokuratora, który brał udział w procesie Wańkowicza i przeprowadziła z nim pasjonujący wywiad. Ona także przytoczyła przykłady jak dalece pisarz hojnie wspierał działania polskiej opozycji politycznej. Oleńce zawdzięczamy także bezcenne dokumenty czym dla Polaków z Warmii i Mazur stała się książka „Na tropach Smętka”. Przywołała dedykację więźnia łagru, który napisał do Wańkowicza, że jeden z towarzyszy jego niedoli „wykazał bezprzykładowy hart ducha i szlachetność serca, dzieląc się ze mną pajdą razowego, na wagę złota cenionego chleba, pod warunkiem, iż po powrocie do Kraju ofiaruję mu pańską książkę «Na tropach Smętka»”. Córka jednego z bohaterów „Smętka” napisała Wańkowiczowi: „Kiedy Niemcy wyrzucili nas matka wzięła ze sobą tylko tę książkę. Umiałam ją niemal na pamięć. Ileż Panu zawdzięczam w tych latach nocy i pogardy. Ile siły i miłości Polski czerpałam z tej książki!”.

Na wieczorze Oleńki Ziółkowskiej-Boehm w warszawskiej księgarni podczas jej ostatniego pobytu w Polsce powiedziałam, że koniecznie powinna napisać jeszcze książkę o listach do Wańkowicza. (Pisarz w testamencie zostawił Oleńce całe swoje archiwum). W książce o nim cytuje niektóre z tych niezwykłych cimeliów poczynając od antologii nieprawdopodobnych adresów: „Melchior Wańkowicz. Warszawa” z dopiskami na kopertach: „(resztę powinien znać każdy warszawski listonosz)”, „Każde dziecko wskaże”, „Polski Pisarz Narodowy”, „Wielmożny Pan Melchior Wańkowicz – potężny utalentowany pisarz, myślący, mądry, zacny, Polak i człowiek!”.

Zacytowała Oleńka także wiersz, który ucieszył adresata:

Mistrzu Niepowtarzalny, Wirtuozie pióra,

Pejzażysto barw, światłocieni słów,

Kronikarzu doli człowieka,

Uśmiechów, radości i łez.

Nad Tobą czas się nie zamknie,

Pióro nie ostygnie,

Karafka nie wyschnie,

Ziele nie zszarzeje.

To wielka zasługa Oleńki, że barwy „Ziela” nie szarzeją. Dzięki jej nieustrudzonym wysiłkom ukazała się korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną. Oleńka napisała to, że Wańkowicz „kochał kobiety jak kwiaty”. Cytuje też słowa profesora Tatarkiewicza z rozprawy „O szczęściu”, iż „szczęście mężczyzny polega na właściwej kobiecie”. Pani Zofia Wańkowiczowa, jako młoda matka, pisze: „W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia”. My, wierni czytelnicy „Ziela na kraterze”, niezłomnie w tę miłość wierzymy.

Finałowym akordem dzieł Oleńki poświęconych Wańkowiczowi jest jej świetna książka, która ukazała się po angielsku w Ameryce. Udało jej się uchwycić wszystkie cechy wspaniałej osobowości pisarza, który mówił o sobie: „Uprawiam pisarskie zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To moje farby, kolory, zapachy. To zew krwi, pożywienia, tradycji...”.

Modlitwy Oleńki

Bohaterowie Wańkowicza otrzymali od Oleńki przedłużenie swego życia. Dowiedzieliśmy się dzięki jej książkom jaki był los Hubalczyków, takich jak Rodziewicz, Alicki, Szymański – bohaterowie rozdziału „W cieniu legendy Hubala”, z książki „Lepszy dzień nie przyszedł już”, bohaterowie bitwy o Monte Cassino, bohaterka Powstania Warszawskiego „Kaja od Radosława”, która przez 54 lata chroniła Hubalowy Krzyż Virtuti Militari. Wańkowicz opisując losy żołnierzy polskich po wojnie powiedział: „Ciężko jest żołnierzowi zamienić sztandary na szufłę, zwłaszcza obcą. Ciężko jest pisarzowi, który pisał jak sztandary łopoczą na wicherze, zejść do dławiącej w gardle szarości”. Opisując losy Hubalczyków Oleńka odnalazła wiele niezwykłych kolorów w tej szarości, do której zepchnął ich los. Jest w jej książkach cała plejada naszych rodaków, którzy zapisali najpiękniejsze karty życia w

Polsce i poza jej granicami.



Szczęśliwa trójka -
Oleńka z mężem
Normanem i synem
Tomkiem

Oleńka mieszka w Stanie Delaware ze swoim mężem Normanem Boehm (zm. w maju 2016 r., red.), kuzynem sławnej aktorki Ingrid Bergman. To bardzo szczęśliwe i udane małżeństwo. Miałam szansę obserwować Normana i wzruszać się jego opiekuńczością, tkliwością i adoracją jakie okazuje żonie. Jest także Oleńka szczęśliwą matką Tomka, który zrobił światową karierę jako wybitny fotograf i dziennikarz. Potrafi napisać na Dzień Matki: „Najukochańsza Mamo - kocham i dziękuję za wszystko”.

Oleńka ma swoją własną modlitwę: „Dzięki Ci Boże za życie, za zdrowie, za łaski, za Tomka, Rodziców, Rodzinę, Normana, dom rodzinny, za ludzi, którzy mnie kochali, którzy mi pomogli, za brak wojen i klęsk wokół mnie, za przyrodę, słońce, las, oceany, za dobre myśli, za to, że ból zapomniałam, że dane mi było kochać”...

I jest jeszcze jedna piękna modlitwa Oleńki, która zwiedziła dziesiątki krajów świata. Oto co pisze jadąc drogami Teksasu: „I przypominam sobie pola i lasy w Lipcach Reymontowskich, szum dojrzałego zboża, smak rozgrzanych jagód, jeżyn zrywanych w Radziejowicach, śpiew ptaków w Lesie Kabackim, ciszę i urok Parku Wilanowskiego, białe brzozy w Nieborowie, kształt drzew w Łazienkach, zapach bzu

i jaśminu z ogrodu mojego dzieciństwa, zapach powietrza w Tatrach po deszczu”. To jest wielka tajemnica przemożnej polskości, której wiernym ambasadorem jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem organizowali Kościuszkowski wieczór Barbary Wachowicz w Filadelfii

Miesięcznik Polskiego Związku Kobiet Katolickich – „List do Pani” ,

Nr 7/8 (236) 2015, str. 28-30.